



ŻYCIE SENIORA

NA WYŻYNACH

bezpłatnie

Nr 5 (65) rok VII maj 2021

Głos redakcji

Uwaga do redakcji

Do poprzedniego numeru „Życia Seniora” napisałem spontanicznie dosyć mocny tekst pt: „Krótki tekst o uprzedzeniach”. W niniejszej uwadze pomijam całkowicie sprawę poruszonego tematu, bo każdy ma prawo wyrażać swoje zdanie, ale zdziwiło mnie mocno, że ktoś miał wgląd w nieopublikowany jeszcze artykuł i zdążył napisać „Krótką ripostę do tekstu o uprzedzeniach”. Została umieszczona nieprzypadkowo poniżej tego, co ja napisałem. Nie dano więc Czytelnikowi czasu na tzw. oddech i samodzielne ustosunkowanie się, sugerując swoją opinię. Poczulem się zmanipulowany.

Poszedłem więc do kolegi Janusza /naszego Naczelnego/, aby wyrazić swoje zdziwienie i rozmawiając w cztery oczy, uzyskałem wyjaśnienie, które mnie w pewnym stopniu zadowolilo.

Marek K-J

Rzeczywiście, zaistniała pewna niezręczność edytorska, za którą biorę całkowitą odpowiedzialność. Ponieważ jesteśmy tylko amatorami – autorami i wydawcami – a nasza jedyna profesjonalistka jest na leczeniu i nie mogła mi podpowiedzieć, chociaż ja intuicyjnie czułem, że nie powinienem, ale stało się: zamieściłem polemikę w tym samym numerze co artykuł, o którym mowa wyżej. Tym samym naruszyłem zwyczajowy kodeks dziennikarski, czy nawet przepis, za co z pokorą przeproszam. Ponieważ potrzebny był mi tekst, aby zapełnić kolumnę, poprosiłem koleżankę – udostępniłem jej tekst, bo w redakcji każdy może czytać wszystko, co jest złożone przez autorów – o napisanie artykułu polemicznego, wiedząc, że ta polemika nastąpi tak, czy siak, bo znam poglądy autora i autorki polemiki. Moją intencją nie było manipulowanie tekstem ani osobami. Wyszło niezręcznie. Bez urazy.

Ciepło zawitało do nas gwałtownie, z dużą siłą kalorii ciepła, co i tak nie pomogło przyrodzie, bo matury już trwają, a kasztany nadal nie zakwitły (piszę 13. maja). Niemniej jednak, a może właśnie dlatego, życzymy abiturientom połamania piór, czyli powodzenia na egzaminie dojrzałości. Powinno być dobrze, bo pan minister łaskawie obniżył wam wymagane loty do poziomu... niżej się nie dało. Przy niskich lotach łatwo się rozbić. Boję się o waszą przyszłość, że ten rocznik maturalny będzie traktowany ze specjalną troską, a może ze wzdargą. Mimo wszystko wierzę w was i liczę, jako senior, na dobre przez was kierowanie krajem w przyszłości. Powodzenia w rekrutacji na studia i udanych wakacji.

Czy już u was po szczepieniach, drodzy seniorzy? Mam nadzieję, że ominął was bałagan organizacyjny szczepień i nie zabrakło dla was dawki w wyznaczonym terminie, było bez nerwów i straty czasu. Bądźmy zdrowi! Pamiętajmy, że szczepienia chronią nas przed ciężkim przebiegiem choroby Covid-19, ale nie chronią przed samym zakażeniem i nadal możemy być roznośicielami wirusa, dlatego zasłaniajmy nos i usta maseczką w pomieszczeniach zamkniętych i utrzymujmy dystans społeczny w maseczce na twarzy, jeśli jesteśmy dłużej w grupie. Bądźmy rozważni na co dzień, a wkrótce pokonamy pandemię przez nabycie odporności zbiorowej i łątwiej będzie nam żyć. /jo/

Mimo chłodnej wiosny kasztanowce zdążyły zakwitnąć dla maturzystów



Czy znamy prawdziwą naturę kotów?

Wymagamy od kotów, aby sikaly do pudełka (dobrze, gdy jest tam piasek lub odpowiadający im żwirek, gorzej, gdy karze się im sikać do dziury!), przesypany całą noc, nie chodziły po półkach i blatach, nie drapały. Na dodatek chcemy, by odbywało się to bezboleśnie, właściwie prawie z dnia na dzień, nie biorąc pod uwagę faktu, że upłynęły tysiące lat od początków istnienia kotów. Zapominamy, że koty zawsze załatwiały się tam, gdzie miały ochotę, albo w ogóle były to koty żyjące na wolności lub wychodzące. Tym ograniczeniom, które im narzuciliśmy, koty często nie są w stanie sprostać i wtedy zaczynają się problemy, a my nie wiemy, DLACZEGO?

Przy szukaniu przyczyny sikania w „nieodzwolonych” miejscach trzeba mieć na uwadze, że koty sikają czasami z powodów zdrowotnych i to przede wszystkim trzeba rozważyć. Znaczenie moczem ma czasami charakter seksualny. Najczęściej jednak przyczyną tkwi w naturze kotów i niemożności zaspokojenia instynktu terytorialnego. Wszyscy wiemy, że koty to zwierzęta terytorialne, ale nie wszyscy wiedzą do końca, co to w praktyce oznacza i jakie ma konsekwencje w ich zachowaniu. Instynkt terytorialny kotów to dysponowanie odpowiednim terytorium i posiadanie go na własność. Koty bardzo różnie go zaspokajają, na ogół polega to na zaznaczeniu swojego terytorium moczem, zapachami wydzielanymi z gruczołów, znajdujących się na policzkach i innych częściach ciała podczas ocierania się i drapania. Kot to wszystko robi, by zrealizować swój odwieczny instynkt: PRAWO WŁASNOŚCI.

Instynkt terytorialny i związany z nim stres terytorialny może objawić się np. sikaniem na rzeczy domowników, ich gości lub dziecka. Ten nowy zapach (gości lub małego dziecka) zaburza harmonię zapachową kota, związaną z zapachem jego otoczenia,

tworzonym przez inne zwierzęta, ludzi i przedmioty znajdujące się na jego terytorium. Z różnych powodów, szczególnie gdy kot jest bardzo wrażliwy i pobudliwy, może zacząć odczuwać zagrożenie terytorialne i musi zawłaszczyc nieco terenu obsikując rzeczy najsilniej pachnące tym NOWYM.

Tu przypomina mi się opowieść pewnej znajomej, która skarżyła się wiele lat temu na swojego kota. Kot ten „na złość” sikał na jakieś rzeczy jej gościa (już nie pamiętam, czy to była torba czy łóżko, na którym ten gość spał). Wtedy niewiele wiedziałam o kotach i ich instynkcie terytorialnym, więc tylko z lekkim niedowierzaniem i słabiutkim protestem przyjąłam te rewelacje do wiadomości. Dzisiaj już zupełnie inaczej bym z nią rozmawiała, bo wiem, że koty nie są złośliwe i nie sikają nam na złość.

Jakże często jesteśmy nieświadomi, że wracając do domu z miasta lub



z odwiedzin u znajomych posiadających koty, przynosimy na naszych ubraniach lub nawet dłoniach niewyczuwalne dla naszego nosa zapachy innych kotów lub zwierząt. W takim przypadku, jak również w przypadku pojawienia się nowego zwierzęcia lub przedmiotu w domu, a czasami nawet zmiany w ustawieniu mebli – kot zostawi ślad (mocz) na swoim terytorium dla dodania sobie trochę pewności. Czasami koty oznaczają jakieś miejsce moczem, bo z okna mieszkania na parterze zobaczą jakiegoś obcego kota tak blisko, że muszą same zademonstrować, że to one są właścicielami tego terytorium. Trzeba podkreślić, że dla kota terytorium nie jest ograniczone ścianami, jak w przypadku człowieka, ale obej-

muje teren w zasięgu jego wzroku lub gdy kot wyczuje obcych.

Ogólnie rzecz biorąc koty sikają w miejscach, w których nie czują się pewnie, gdzie doszło do konfliktu lub bójk z innym osobnikiem, gdy są dwa koty, pies lub małe dziecko. Często są to miejsca w pobliżu krytej kuwety, której niektóre koty z różnych powodów nie akceptują albo też kot korzystający z kuwety może nie mieć możliwości swobodnego jej opuszczenia. Osaczony i przerażony kot (a trzeba pamiętać, że koty z natury są bardzo czujne i wrażliwe na wszelkie zmiany w otoczeniu) może wtedy załatwić się poza kuwetą. Wtedy właściciel się złości, a nie przyjdzie mu do głowy prawdziwy powód takiego zachowania kota.

Bardzo ważne jest ustawienie odpowiedniej liczby kuwet. Na ogół uważa się, że powinno być ich tyle, ile mamy kotów +1. Ja miałam dwa koty i tylko 2 kuwety i moim mruczkom to wystarczało, ale to było rodzeństwo i nie było między nimi specjalnych zatargów. Bardzo ważne jest niestosowanie żadnych zapachów i odświeżaczy w pobliżu kuwet, bo zaburzają one zaspokojenie przez koty swojego instynktu terytorialnego. Pominę tu podawanie rad odnośnie podłoża, jego ilości w kuwecie lub rozmiarów kuwety. Podsumowując, trzeba wyraźnie podkreślić: dla kota kuweta to najważniejsze miejsce – coś, co jest najsilniej naznaczone jego zapachem. Tam, gdzie stoi kuweta, tam kot czuje się panem, właścicielem tego terytorium.

Subtelnym sposobem znaczenia terytorium swoim zapachem jest drapanie. Ono zapewnia kotu nie tylko prawo własności lub współwłasności danego terytorium, na którym mieszają się jego zapachy z naszymi. To daje mu poczucie bezpieczeństwa. Koty różnią się preferencjami w stylu drapania. Niektóre wolą powierzchnie poziome, np. dywan, a niektóre pionowe (sofa, a nawet meble). Gdyby opiekunowie uwzględnili te naturalne potrzeby kota, zniknęłyby większość (jeśli nie wszystkie) problemów z moczem. Krystyna K

Mikrowyprawy

Mikrowyprawy z Warszawy.pl. Tak nazywa się blog turystyczny, na który trafiłem, szukając ciekawych a nieznanymi mi miejsc wartych zobaczenia w odległości nie większej niż dwie godziny jazdy od stolicy. Píše go osoba, która wraz z mężem i dwójką małych dzieci w każdy weekend gdzieś w okolicy Warszawy wyjeżdża i nie stanowi to dla nich żadnego problemu organizacyjnego i wydatkowego. W większości tych miejsc byłem sam lub z kolegami seniorami, ale stwierdzam, że jest jeszcze wiele do zobaczenia i nacieszenia zmysłów urokiem okolic. Nie będę opisywał tych miejsc, bo to tu nie ma sensu, tylko odsyłam do bloga i zapoznania się z krótkimi, treściwymi informacjami.



Piszę o mikrowyprawach, zwanych nowocześnie nanowyprawami, kiedyś „wypadem za miasto”, ponieważ stały się one dla turystów znakiem czasu w pandemii. Dwudniowa albo jednodniowa całodzienna wyprawa może stać się niezwykłym przeżyciem dla osób, które potrafią zrozumieć nową sytuację podróżowania, lecz nadal szukają wrażeń, potrzebują kontaktu z przyrodą, kilometrów w nogach i tego niezwy-

kiego szczęścia, którego doznaje się na polach, bezdrożach, w lasach i jego dźwiękach. Nie trzeba posiadać samochodu, wystarczy kolej podmiejska, czasem dalekobieżna, żeby móc przedzierać się przez las, maszerować, oderwać się od cywilizacji, od komputerów, nałykać się tlenu, przywrócić właściwy rytm serca i poprawić krążenie w nogach. To może być szczęście, to może być rozluźnienie po napięciach w rodzinie, w pracy wśród znajomych. To dzisiaj jest ten dany nam czas, kiedy możemy się cieszyć, kiedy możemy smakować to, co jest najbliżej nas. Czeka nas nowy sposób projektowania wakacji, odpoczynku czy aktywności. Samolotem już tak nie polatamy do dowolnego zakątka planety (tym samym ograniczymy jej degradację), więcej czasu poświęcimy rodzimym zwierzętom niż egzotycznym, wielu widziało krokodyla, ale już mniej bobra w akcji.

Zresztą, można projektować te mikrowyprawy tematycznie, na przykład szukać śladów poprzemysłowych, zachwycać się geologią bądź szukać potwierdzenia cudów przyrody znanych z odpowiednich atlasów. Na polskiej ziemi jest więcej ciekawych miejsc i obiektów, niż by to się śniło chwalipiętom z facebook'a chociażby. Owszem fotka z krzywą Wieżą w Pizie jest dla niektórych „bywałych w świecie” konieczno-

ścią, natomiast z dębem „Bartek” w tle już niekoniecznie. Szkoda. Ja uważam, że zwiedzanie świata jest niczym złym, ale gdy zaniedbuje się własny krajobraz, to już uznaję za grzech wobec ojczyzny. Często ostatnio nadużywane słowo „patriotyzm”, którego znaczenie jest mocno wykoślawiane i stało się nazbyt krzykliwe, a jego zaprzeczenie, rzucane na prawo i lewo, nawet obraźliwe. Różnie ludzie pojmują znaczenie tego słowa, ale – tak uważam – jeśli nie znasz naocznie swojej ojczyzny, a jedynie z przekazów historycznych, które piszą interpretatorzy historii – to wiedz, że twój patriotyzm jest w słowach jedynie, a nie w świadomym odczuwaniu tętna kraju, rozumieniu trudnych spraw historii i współczesności oraz radości z piękna krajobrazu. Wracając do mikrowypraw, kiedy obostrzenia zamknęły granice państw, zupełnie przewrotnie możemy cieszyć się z tego faktu. Oto nastał czas poznawania

własnego kraju. Niekoniecznie od razu trzeba jechać tam, gdzie i tak już byliśmy, do Krakowa czy Wrocławia, w Tatry albo do Kołobrzegu – to wydaje się takie oczywiste – mamy wreszcie okazję poznać zakątki kraju, do których nie docierają licznie wycieczki autokarowe, bo owe miejsca nie noszą w sobie „piętna” perły czy magnesu, tych określić dla wartości turystycznej, chociaż zbierającej żniwo licznych odwiedzin zorganizowanych grup. Po prawdzie to nic złego być tam, gdzie jest znana atrakcja turystyczna, ale niemniej ważne jest być tam, gdzie kieruje nas dociekliwość po-

znawcza, aby spełnić kryteria poznania ojczyzny i wolności, żeby móc powiedzieć słowami piosenki Marka Grechuty: „przez każdy bór i mur znać przejście”. Po prostu nie być powierzchownym w dziele stawania się patriotą. A propos Marka Grechuty. Jest jeszcze jedna piosenka, jej tytuł „Ojczyzna”, a z jej przesłania, może nie wprost, ale jednak wynika, że twoja ojczyzna, to są miejsca, w których się było, które się zna osobiście.

Zrobiła mi się niespodziewanie dygresja o patriotyzmie. Nic dziwnego, skoro poznawanie kraju uważam za podstawę budowania wiedzy o kraju ojczystym. Oczywiście historia kraju też jest niezbędnym podłożem tego poznania, tak jak i znajomość tradycji. Jednak poznanie turystyczne, czyli „ukształtowane u turystów postawy samokształceniowe, badawcze i poszukujące” kreują w nich świadomość, tę wiedzę opartą na unaocznieniu, na związanych z tym emocjach i zaradności nabytej, a to jest optymistyczne, a w efekcie płynie z tego radość życia.

A zatem, w czasach dominowania pandemii czeka nas okres mikrowpraw, które raczej nie przejdą do hi-

storii, jak „wyprawy życia”, jednak tylko od naszej kreatywności zależy, czy będą udane, wartościowe w przeżycia, doznania, w zachwyty. Mikro-wyprawy musimy sami projektować czy planować, realizować. Takiej oferty, jak na razie nie ma w sprzedaży biur podróży i wątpię, żeby kiedykolwiek były. Nie warto też skreślać nadziei na oczekiwane podróże zagraniczne, których sam odbyłem kilkanaście, które mnie wiele nauczyły, wzbogaciły moją wiedzę o świecie, jego różnorodności biologicznej, przyrodniczej i kulturowej, o mieszkańcach. I wiecie, co powiem na koniec, że nawet kiedy leciałem do Stanów w odwiedziny do syna, to oczywiście odwiedziny były cechą

pierwszą i najważniejszą mojej podróży, ale cała reszta to było pragnienie poznania turystycznego, ta niekończąca się potrzeba gromadzenia, porządkowania, ba, problematyzowania i uogólniania wiedzy o świecie. Wiedzy opartej na autopsji, na ciągłym zainteresowaniu i na pasji poznawczej.

Czy jest w Polsce pomnik turysty? Nie wiem, czy jest potrzebny, ale z pewnością przydałby się pomnik IDEI Turystyki, stojący obok pomnika IDEI Czytelnictwa. W sensie wartości poznawczych turystyka i książka mają dla mnie jednakową siłę oddziaływania drogami nie tożsamymi, ale z pewnością równoległymi. Pozdrawiam turystów i czytelników. /jo/

Jak się godnie starzeć

Zdałem sobie pytanie. Jak się godnie starzeć? Mam przecież 68 lat, długą drogę rekonwalescencji po przebytych chorobach. Mam emeryturę i perspektywę pożycia na tym „padole leż” przez co najmniej kilka lat. Jak ten czas spożytkować, abym w pełni poczuł się wartościowym człowiekiem?

A czasy mamy ciekawe. Epidemia COVID-19 odciska na nas swoje piętno. Trzeba jednak wiedzieć, że to nie pierwsza epidemia, jaka dotknęła Polskę za mojego życia.

Kręta droga epidemii grypy z Hong-Kongu

Zanim epidemie docierały nad Wisłę, światowe epidemie zataczały szerokie koło; od źródła, najczęściej w Azji Środkowej lub Południowej, do miast Europy Zachodniej, a stamtąd w głąb kontynentu. Koronawirus, SARS, grypa azjatycka, nawet słynna „hiszpanka”, która wbrew nazwie wykluła się w północnych Chinach – wszystkie czepiały się szlaków handlowych, wojen i migracji. Podobnie było z wirusem A2 (szczep H3N2), popularnie zwanym „grypą Hong-Kong”.

Pierwsze ognisko wybuchło w lipcu 1968 roku właśnie w Hong-Kongu, skąd choroba rozprzestrzeniła się na Wietnam, Singapur, Chiny i Austra-

lię. Trzy miesiące później wracający z Wietnamu żołnierz zaraził pierwsze osoby w Kalifornii. Pandemia szybko ogarnęła największe amerykańskie miasta i trwała 2 lata, zabijając nawet 100 tysięcy osób – dwukrotnie więcej niż zwykła grypa sezonowa. Przez Europę Zachodnią przetoczyły się dwie duże fale. W roku 1969 i 1971. Wielka Brytania i Francja zanotowały wtedy ponad 30 tysięcy ofiar; Niemcy – po obu stronach Żelaznej Kurtyny – nawet dwa razy więcej.

Epidemia miała kilka cech wspólnych z obecną pandemią. Wirus Hong-Kong jako pierwszy docierał na kolejne kontynenty, korzystając z rozwoju lotnictwa pasażerskiego. Rozprzestrzenił się gwałtowniej niż „zwykła” grypa, wywołując silniejsze objawy, które częściej kończyły się powikłaniami układu oddechowego i nerwowego. W ciągu trzech lat zabił od 1 do 4 milionów ludzi. Stanęły szkoły i fabryki. W wielu krajach produkcja była praktycznie sparaliżowana. Z pracą nie nadążały natomiast zakłady pogrzebowe. Na szczepionkę wirus okazuje się odporny.

Jest też kilka wyraźnych różnic. Na festiwalu Woodstock w 1969 roku nikt nie nosił maseczek i nie dezynfekował rąk. Szkoły zamykało się z powodu absencji, a nie profilaktycznie. Zakłady pracy stawały nie z powodu

zamrażania gospodarki, tylko przez brak siły roboczej (we Francji w szczytowym okresie epidemii prawie połowa personelu była na zwolnieniu). Kapitalistyczni czy socjalistyczni kierownicy fabryk próbowali ratować produkcję. Namawiano chorych, aby w miarę możliwości wracali do pracy. Jeśli przeciętny obywatel wiedział o istnieniu Światowej Organizacji Zdrowia, to nie czytał jej statystyk – o liczbie zarażonych informowały najwyżej lokalne gazety.

Polska - styczeń 1969 roku. Pierwsze uderzenie

W piątek 17 stycznia, na przedostatniej stronie „Dziennika Łódzkiego”, między rubryką kryminalną, a reklamą biura Orbis, szef Sanepidu, J. Zański uspokajał – „...owszem, obserwuje się nasilenie zachorowań, ale wirusa w Polsce nie ma, to problem Zachodu. Gdyby jednak grypa dotarła do Polski, mamy rezerwy leków i sprawą służbę zdrowia”.

Pięć dni później miasto Łódź wprowadza stan epidemii. Sanepid zaleca żłobkom, przedszkolom i domom dziecka naświetlanie pomieszczeń lampami kwarcowymi, przecieranie podłogi wodą z dodatkiem chlorowanego wapna i dezynfekcję wycieraczkami. „Dyrekcja MHD Artykułami Papierniczymi przyrzeka, że jeśli tylko otrzyma przydział chus-

teczek, natychmiast skieruje je do sklepu” – pisze „Dziennik Łódzki”. Pod koniec miesiąca władze raportują o 100 tysiącach chorych, a prawie wszystkie szkoły są już zamknięte. W tym czasie Warszawa już od kilku dni działa w stanie epidemii. „Życie Warszawy” donosi, że „w niedzielę 19 bm. na Żoliborzu nie zalatwiono 100 spośród 192 zgłoszonych wizyt domowych u dorosłych. Przekazano je do Pogotowia Ratunkowego, które jednak z powodu nadmiaru wezwań mogło pojechać tylko do połowy pacjentów”. Do walki z grypą włącza się szpitale kliniczne, studentki i studenci Akademii Medycznej, chirurgów, laryngologów, lekarki i lekarzy szkolnych.

W pierwszym tygodniu stanu epidemii choruje już co trzeci warszawski lekarz i 40% pielęgniarek. Stołeczny Wydział Zdrowia apeluje do medyków, by „niezależnie od tego, gdzie są zatrudnieni, zgłaszali się po swych normalnych godzinach pracy do kierowników przychodni obwodowych, oferując pomoc w walce z grypą, zwłaszcza w godzinach popołudniowych i wieczornych”.

Miejskie apteki są obłożone. Już po kilku dniach za ludźmi muszą stawać studenci ostatnich lat farmacji, bo grypa dopada aptekarzy. Zakłady pracy wykupują leki w hurtowych ilościach dla swoich pracowników i na efekty nie trzeba długo czekać – zapasy pustoszeją. Popularny wówczas w leczeniu grypy influmin zaczyna być wydawany tylko na receptę, a surowce do jego produkcji pospiesznie sprowadza się zza granicy. Jak donosi prasa – „z krajów kapitalistycznych”. Wszystkie zakłady farmaceutyczne otrzymują nakaz produkowania leków przeciwgrypowych. „W czasie żadnej jeszcze epidemii nie zużyto w Warszawie tak dużo leków, jak obecnie” – ocenia Stołeczny Zarząd Aptek.

Polska - listopad 1971 roku. Drugie uderzenie

Drugiej fali epidemii nie spodziewał się nikt. Wybuchła w Polsce w listopadzie 1971 roku. Niezwykła

zarówno pod względem rozmiarów i gwałtowności, jak i pod względem klinicznego przebiegu choroby. Była to jedna z najcięższych, jeżeli nie najcięższa epidemia od czasu drugiej wojny światowej. Chociaż wszystkie media donosiły o wirusie grypy, szalejącym od początku listopada na Węgrzech, to do samego końca przekonują, że powrót „Hong-Konga” jest mało prawdopodobny. Gdy stało się jasne, że ponowne uderzenie wirusa będzie silniejsze w skutkach, zaczęto panikować.

Wyrazem drugiej fali była liczba zachorowań oraz wysoka śmiertelność. Od 15 listopada do 31 grudnia 1971 r. zarejestrowano 5 800 000 chorych na grypę. Należy przypomnieć, że w 1971 w Polsce mieszkało



ponad 32,6 milionów ludzi. Z danych o zachorowalności na grypę, opublikowanych dwa lata później w artykule otwierającym „Przegląd Epidemiologiczny” podano, że w ciągu sześciu tygodni prawie 18% populacji zgłosiło się do przychodni i szpitali z poważnymi objawami grypy. Jak podkreśla autor, dane prawdopodobnie nie objęły dzieci, emerytów i mieszkańców wsi oraz innych, którzy nie poprosili o zwolnienie z pracy i leczyli się w domu. Mimo zapewnień służba zdrowia się nie sprawdziła.

Z raportów Sanepidu wiemy, że w Warszawie stan epidemii ogłoszono już 13 listopada, w Łodzi – 18, a sześć dni później także w wielu województwach na Śląsku. KC PZPR w poufnym raporcie z 26 listopada 1971 roku informuje o wzrastającej od dwóch tygodni liczbie zakażeń i dużej absencji w zakładach pracy. Władza wciąż jednak liczy na wykonanie planu: „Straty odrabia się w niedziele. Załogi pracują bardzo ofiarnie. Do pracy przychodzą nawet osoby chore”.

Taka była proza życia. Ciekawe, że tuż po ogłoszeniu stanu epidemii na łamach „Życia Bytomskiego” dyrektor Sanepidu Janina Gerstmann tłumaczy, że nie poczyniono żadnych kroków, by przeciwdziałać epidemii, „bo nie zachodzi taka potrzeba”. Radzi natomiast nastolatkom, by nie zapomniały o czapkach i szalikach oraz spożywaniu witaminy C.

Dr hab. Marcin Zaremba, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego, tak to podsumował: „To był pierwszy rok kadencji Gierka, świeżo po wydarzeniach grudniowych. Zbliżał się zjazd partii, nie można było pisać o jakiejś grypie. Epidemia to problem, robotnicy idą na zwolnienie, gospodarka jest zagrożona, a tego najbardziej bały się władze. Problemem nie był też sam wirus, ale to, że nieudolne państwo sobie z nim nie radzi”.

Dr Hanna Celnik z Komisji Badań nad Historią Nauk Medycznych PAN powiedziała: „Zabrakło miejsc w szpitalach, lekarzy, karetek. Apteki

opróżniono już w pierwszych dniach epidemii. Oczywiście prasa o tym nie wspominała, panował zakaz mówienia o liczbie chorych, nie mówiąc już o zgonach”.

Jak to się przekłada na dzisiejsze realia? Wiele z tego, co przedstawiłem, jest powtórką tamtych lat. Historia ma to do siebie, że lubi się powtarzać. Pamiętajmy, nie dajmy się zwariować! Jak sobie radzić i jak przetrwać ten zwariowany czas w następnym artykule.

Zebrał i podsumował
Wojciech A. Zieliński

Ekologia i rola roślin w naszym życiu

Dla obecnie żyjącego człowieka, jego wszechstronnego i harmonijnego rozwoju nic co ludzkie nie powinno być obce, ale i nic co go otacza, nie powinno być lekceważone. Dotyczy to szczególnie osób mieszkających w mieście, bo środowisko, w którym żyjemy, zostało bardzo zanieczyszczone przez rozwój cywilizacyjny.

Na całym świecie jest prowadzona dewastacja naszej planety. Człowiek zapatrzone w swoje osiągnięcia techniczne, zbyt często lekceważy przyrodę. Jest krótkowzroczny i lekkomyślny, niszczy swoje środowisko, wycinając bez opamiętania lasy, pozwala na zatrucie wody i atmosfery. Równowaga w przyrodzie jest coraz bardziej zachwiana. Gwałtownie postępuje ocieplenie klimatu, a wraz z nim zmiany, które wcześniej czy później doprowadzą do katastrofy.

Już teraz widzimy, jak zmienia się klimat. Gwałtowne zmiany pogody (tornado, powodzie, pożary, susze) powodują zniszczenia siedlisk ludzkich, ogromne straty w uprawach rolnych, co stało się przyczyną głodu w niektórych rejonach kuli ziemskiej.

Pogarsza się stan czystości powietrza, którym oddychamy, co jest powodem wzrastającej liczby chorób układu oddechowego, krążenia i serca. W szybkim tempie zmniejszają się zasoby wody, co prowadzi do pustynnienia wielu rejonów globu. Giną siedliska wielu gatunków zwierząt.

My ludzie zapominamy, dzięki czemu możemy być mieszkańcami tej planety, że to rośliny produkują dla nas życiodajny tlen z dwutlenku węgla, a przez syntezę dwutlenku węgla i wody dostarczają nam substancji organicznych (węglowodanów). Proces ten nazywa się fotosyntezą. Bez tlenu i węglowodanów życie ludzi i zwierząt byłoby niemożliwe. W związku z tym powinniśmy być wdzięczni roślinom za życie, zdrowie i za ich piękno. Już w biblijnym opisie stworzenia świata

jest wzmianka o roślinach. Także odkrycia geologiczne potwierdzają fakt istnienia roślin setki tysięcy lat przed pojawieniem się człowieka. To one przygotowały nam środowisko i podstawy istnienia. Najwięcej wiemy o roślinach z okresu karbonu, kiedy to z gigantycznych paproci, widlaków i skrzypów powstał węgiel. To nasiona roślin, drzewa i krzewy kruszą swymi korzeniami skały, za pomocą wiatru, deszczu i mrozu. W ten sposób dzięki roślinom powstała gleba, która zawiera wszystkie składniki potrzebne do życia ludziom i zwierzętom. Świat roślin jest nie tylko spiżarnią, ale również apteką. Wśród roślin wielką rolę w naszym życiu odgrywają zioła. Były



Łąka kwietna na Żoliborzu

one przez tysiąclecia jedynym dostępnym środkiem leczniczym. Służyły i służą człowiekowi także do przygotowania potraw.

W dzisiejszym świecie przepelnionym zdobyczami techniki i nowych technologii, dobrze byłoby zwolnić i zastanowić się nad sensem i celem, do którego dążymy. Zanieczyściliśmy powietrze, wodę i glebę. Wszecobecna chemia prowadzi ludzi do samozagłady. Jesteśmy coraz słabsi, nękają nas coraz groźniejsze choroby. Smog nie pozwala oddychać. Sytuacja zdrowotna ludzi, szczególnie w miastach, staje się coraz gorsza. Każdy skrawek wolnej przestrzeni miejskiej jest zabudowywany. Topnieją parki i zieleńce, które są płucami miasta. Ze względu na coraz droższą wodę, nie są podlewane trawniki, które są wypalane

przez słońce, a drzewa z braku wody usychają. Poza tym, utrzymanie trawnika w ładnym stanie, to duży koszt. Trzeba go w ciągu letniego sezonu przynajmniej 5-7 razy skosić, a także wywieźć skoszoną trawę. Tu należy dołączyć koszt paliwa do sprzętu koszącego. Praca ludzka też kosztuje. Warto byłoby zastanowić się, czy kosztowne w utrzymaniu trawniki nie zamienić na kwietne łąki lub rabaty z polnych kwiatów, które nie wymagają takiej pielęgnacji jak trawniki? System korzeniowy tych roślin nie potrzebuje dużo wody. Koszenie należy wykonać tylko jesienią, kiedy przyroda kończy wegetację. W szarym zakurzonym mieście, różnorodność kolorów,

kształtów i zapachów polnych roślin cieszyłoby oczy i powonienie. Przyjemnie byłoby oglądać poletka maków, rumianków, malw, chabrów, onętki, stokrotek, ostróżek, słoneczników, kąkoli, stokrotek lub koniczyny, jadąc ulicami miasta transportem miejskim lub spacerując. W otoczeniu kolorowych kwiatów i ich aromatu przyjemnie byłoby posiedzieć na ławeczce, wspomnieć lata młodości czy poczytać książkę. Kontakt z takim otoczeniem pełnym barw i zapachu

skutecznie odświeża po pełnym napięciu dniu pracy. Poza tym, te rośliny pochłaniają pył komunikacyjny, a także obniżają temperaturę otoczenia o kilka stopni. Takie kwietne miejskie rabaty byłyby siedliskiem dla owadów (pszczoł, trzmieli, motyli oraz innych zapylaczy), ptaków i małych zwierząt (jeży, nornic). Koszt takiej inwestycji jest jednorazowy, gdyż rośliny te są wieloletnie lub same się rozsiewają.

Uważam, że dla mieszkańców miast, a także okolic z nieużytkami byłyby to przyjemny i niezbyt kosztowny prezent na czas pandemii, kiedy wyjazdy poza miejsce zamieszkania są obarczone ryzykiem.

Pozdrawiam wszystkich Czytelników serdecznie, życząc dużo zdrowia i pogody ducha.

W.K.

PRZECZYTAJMY TO JESZCZE RAZ...

„Balladyna”

– najbardziej poetycki dramat romantyczny w naszej literaturze

Juliusz Słowacki napisał „Balladynę” mając lat 25, w roku 1834 (wydana została pięć lat później). W liście do matki napisał: „Tragedia podobna do starej ballady (...), przeciwna prawdzie historycznej. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca”.

Akcja utworu umieszczona jest w czasach prehistorycznych, za czasów króla Popiela i łączy elementy fantastycznej baśni, poetyckiej ballady (stąd imię Balladyny) i przedziwnych losów i namiętności ludzkich. Motywem przewodnim wielowątkowej fabuły są losy zaginionej autentycznej korony prawowitego króla, któremu okrutny brat wymordował całą rodzinę i w ten sposób zdobył tron. Ale wygnany władca ukrył prawdziwą koronę, a sam żyje nad Gopłem jako Pustelnik. Szlachetny rycerz Kirkor, dowiedziawszy się o tym, przysięga przywrócić mu tron.

Intryga jest wielowątkowa i skomplikowana; w historię tę wplączę się miłość, czysta, prawdziwa i tragiczna. Jasnowłosa bogini jeziora, Goplana, zakocha się z całego serca w jedynym człowieku, jakiego poznała – Grabcu. Ale pech sprawi, że jest to uosobienie chamstwa, wiecznie zapity prostak, który pijany do nieprzytomności omal nie utonął w jeziorze. Życie uratuje mu Goplana i właśnie w nim się zakocha. Dowiedziawszy się, że Grabiec zaleca się do córki ubogiej wdowy, Balladyny, spróbuje pokierować ludzkimi losami. Posługując się swoimi dwoma duszkami, Skierką i Chochlikiem, skieruje do chaty tej wdowy wspomnianego wcześniej Kirkora, licząc, że Balladyna, gdy pozna możnego pana, odwróci się od Grabca. Szlachetny Kirkor rozumie, że szczęście można znaleźć w prostej chacie, ma jednak dylemat – obie córki ubogiej kobiety są piękne i trudno dokonać wyboru. Obie zauroczone są pięknym paniczkiem i mówią o swej miłości. Dzięki podpowiedzi Skierki

znajdzie się wyjście – dziewczęta pójdą o świcie zbierać maliny i która pierwsza przybędzie z pełnym dzbanem, ta zostanie żoną Kirkora.

Tak więc wydaje się, że baśń rozwija się w stronę szczęśliwego zakończenia, ale los bywa okrutny. Alina bez trudu zebrała pełny dzban, natomiast Balladyna nie znalazła nic:

*Jak mało malin! A jakie czerwone
Jak krew... (...) A niebo jakie zapalone
Jak krew... Czemu ty, słońce, wscho-
dzisz krwawo?*

Ale jest proste wyjście – uderzenie nożem. W pierwszej chwili po zabójstwie siostry Balladyna jest przerażona: „Co moje ręce zrobiły?”. Po chwili się opanowuje jednak i podejmuje decyzję:

*Jest Bóg... zapomnę, że jest, będę
żyła,
Jak by nie było Boga.*

Wyjście wydawało się proste – matce Balladyna powie, że niedobra Alina uciekła z jakimś młokosem. A więc wszystko się udało, wyjdzie za mąż za możnego Kirkora – tylko na czole zbrodniarki pojawi się plama jak krew czerwona – i tej plamy nie uda się niczym zetrzeć. A białe róże wokół zaczęły kwitnąć z czerwonymi plamami. Tego okrutna Balladyna nie przewidziała – że istnieje sumienie: *...rankiem głos sumnienia nudzi
Nad wieczorami dręczy i przeraża,
A nocą ze snu okropnego budzi...
O! gdyby nie to...*

Balladyna, która rozpaczliwie trze czoło, aby usunąć plamę, przypomina lady Makbet, która bez końca myje ręce. Ale nie jest to koniec zła, jedna zbrodnia pociąga za sobą następną. Okazuje się, że przeszkodą staje się matka, która nie kryje swojego pochodzenia, a przecież Balladyna – już pani na zamku – pragnie to ukryć. Lepiej więc matkę zamknąć w wieży, a jeśli się zapomni posłać jej jedzenie, to i lepiej. W końcu matka zostaje wypędzona w czasie straszliwej nawałnicy. Opowie: *...Wygnać w las! Na burzę
Wypędzić matkę! upadłam w kałużę*

*I grom czerwony wyjadł z powiek
oczy,
Wyjadł do szczętu...*

A ta nieszczęsna kobieta marzy jedynie o tym, żeby córka ją kochała.

Tymczasem Balladyna wejdzie w sojusz z niemieckim rycerzem Kostrynem. Razem pokonują Kirkora, ale między partnerami nie ma ni krzyż zaufania – lepiej więc poczęstować go połówką chleba, zatrutą tajemniczym jadem. I w ten sposób Balladyna zdobywa pełnię władzy, nikt już nie stoi na drodze do włożenia na głowę prawdziwej korony króla Lecha. Oświadcza:

*...Życie pełne trudu
Na dwie połowy przecięła korona.
Przeszłość odpadła...*

*Teraz naprawdę chce być dobrym,
sprawiedliwym władcą:
Przysięgam sobie samej, w oczach
Boga,
Być sprawiedliwą.*

Pierwszym jej obowiązkiem jako władcy jest jednak odbyć sąd. A oskarżenie dotyczy trzech zbrodni: otrucia Kostryna, zaszytowania w lesie wśród malin młodej dziewczyny i wygnania przez córkę starej kobiety. W każdym z tych trzech przypadków możliwy jest tylko jeden wyrok – sprawca „winien jest śmierci”. Po trzecim wyroku następuje jego wykonanie – „piorun spada i zabija królową” (tak brzmią ostatnie słowa didaskaliów).

Nawet to niepełne streszczenie pokazuje, że to, co najważniejsze, zawarte jest nie w faktach, ale w tym, co się dzieje między ludźmi i w ludziach. Jeszcze raz nawiążę do przytoczonego wcześniej fragmentu listu poety do matki – „Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi”. Są tu wspólnie zarysowane postacie ludzkie, wkomponowane w bardzo sugestywnie pokazaną przyrodę, która uczestniczy w świecie ludzkim, żyje i staje się świadkiem. Mamy tu wiele odniesień do Szekspira; wzniosłość miesza się z groteską, komizm z tragizmem. Świetny znawca literatury romantycznej,

prof. Eugeniusz Sawrymowicz, nazwał „Balladynę” „najbardziej romantycznym dramatem w naszej literaturze”.

Na zakończenie chciałabym jeszcze wspomnieć o najsłynniejszym – być może – wystawieniu „Balladyny” z 1974 roku. Sławę swą zawdzięcza ono przede wszystkim zaskakującemu pomysłowi reżysera, Adama Hanuszkiewicza, który uznał, że współcze-

snym odpowiednikiem baśniowości jest technika, wobec czego Goplana (Bożena Dykiel), ubrana jak filmowa Barbarella, wraz z Chochlikiem i Skierką, szalala po scenie i widowni na motocyklu – japońskiej hondzie. Końcowa bitwa natomiast przedstawiona była za pomocą zdalnie kierowanych zabawek – czołgów i wozów pancernych. Ale nie tylko dlatego

przedstawienie to zapadało w pamięć – do dziś widzę w wyobraźni Annę Chodakowską jako złowieszczą Balladynę czy Wojciecha Siemiona jako prymitywnego Grabca. A przecież od tego czasu minęło blisko pół wieku... Jak policzono, przedstawienie to grano 368 razy, a obejrzało je 336 911 widzów. Imponujący wynik!

Halina Siwińska

Krótki tekst o poszukiwaniu serduszka

*Serce to najpiękniejsze słowo świata
Serce – w życiu najcenniejszy skarb.*

Te dwa wersy ze znanej piosenki „Serce” wg. tekstu Ortyna Ty-moteusza dają wiele do myślenia. Dzisiaj słuchałem tej piosenki w wykonaniu Krzysztofa Krawczyka, którego niedawno pożegnaliśmy i lza zakreśliła się w oku...

Parę tygodni temu zaprzyjaźniona osoba /Marta/ podzieliła się ze mną swoim projektem tekstu napisanego stylem prozatorsko-poetyckim. Opisała charakter wiatru. Przedstawiła go, jako furiata; gwałtownik... ale na końcu tekstu go wyciszyła, wprowadzając w stan błogości, gdy uległ jakiejś tajemniczej sile. Może spodobało mu się zaproszenie do napędzania wiatraków albo popychania żaglowca?

Ciekawy opis zwracający uwagę, że jest sens szukać serduszka nawet mając do czynienia z trudnymi charakterami.

Również w tym czasie ukazał się na Facebooku rysunek mojego zaprzyjaźnionego kolegi Krzysia. Rysunek przedstawiał granice Polski z napisem „To jest mój kraj”. Niewiele, ale jak dużo. Pojawiły się komentarze – na szczęście znaczna większość pozytywnych. Tak, to jest mój kraj, moje miejsce, mój język, ale też moje ograniczenia.

Razi mnie określenie „w tym kraju”. Czyżby to nie był kraj osób, które tego określenia używają, mówiąc o Polsce? Gdzie więc jest ich serce?

Pamiętam z przeszłości dwie książki, które przeczytałem ponad pół wieku temu, a przychodzą mi na

myśl w związku z poruszonym tematem.

Pierwsza, zatytułowana „Śmierć jest moim rzemiosłem” Roberta Merle. Straszna historia zbrodniarza Rudolfa Hoessa, znęcającego się nad więźniami w obozie koncentracyjnym. Ale, jak czytałem w innym materiale, miał on swego ulubionego pieska, którym się opiekował. Gdzie było jego serce i jaką miało formę? Takie pytanie stawia czytelnikowi autor.

Druga to „Nędznicy” Wiktora Hugo. Chyba każdy ją czytał, więc można krótko powiedzieć, że skruszonym sercem złoczyńcy i jego lż, jak mówią liczne przekazy, zachwyca się całe niebo.

Widać, że w poruszonym temacie nie da się pominąć religii.

Szczęśliwy ten, kto ma silną wiarę. Nawet, gdy odejdzie na trochę, ma gdzie powrócić.

Poszukujący wyczuwają istnienie serduszka, więc okazują innym serdeczność i wyrozumiałość, mimo że w pełni go jeszcze nie odnaleźli.

Ale są i tacy, którzy wyśmiewają religię, ale grają na dwa fronty, więc nie przeszkadza im, aby starać się śpiewać za pieniądze koledy z przyklejonym rozanielonym uśmiechem, co mogliśmy widzieć w czasie Bożego Narodzenia.

Z najbardziej wiarygodnego źródła pochodzi przekaz, że nawet w złym człowieku jest ukryte serce. Może być mocno spętane z powodu doznanych krzywd albo manipulacji, którym był poddany. I tak właśnie myślę o tym wandalu, który jest sprawcą podpalanych śmietników na Ursynowie. Jednak najbardziej za-

gluszone serce znajduje się u „bogów” tego świata – zawsze im mało władzy i terytoriów, a najzimniejsze u zartwardziałych naukowców wyznających jedynie „Siłę Sprawczą” i „Przypadek”. Dlatego, jak mówią liczne ostrzeżenia (jakie?-red.), potrzebny jest dalszy, mocny wstrząs dla świata.

Ale najwyższy czas przejść do jaśniejszego wątku, bo nie chcę, podobnie jak w poprzednim miesiącu, wywoływać oburzenia i być przyczyną frustracji jakiegokolwiek osoby.

Miałem możliwość osobiście zetknąć się z organizacją służby zdrowia w czasach pandemii. Jestem niezmiernie zbudowany postawą lekarzy, pielęgniarów i całego personelu. Robią, co mogą, a warunki trudne. Trzeba czekać dość długo na wyświetlenie się na monitorze swojego numeru, bo liczba oczekujących jest duża, a lekarz ma średnio około 15 minut dla każdego pacjenta. W tym przypadku nie szuka się serduszka, ale widzi się wielkie serce.

W naszych czasach szaleńczo szybkiego rozwoju technologii można przywołać wiele przykładów szukania serduszka.

Najlepszym przykładem może być odwieczna relacja człowieka z ogniem. Najpierw ogień budził przerażenie, potem ogrzewał trzęsące się z zimna w jaskiniach istoty ludzkie, a teraz poza wieloma zastosowaniami nie zatracił uroku błysków przy ognisku. Ogień ma serce, ale może być „rozgniewany”, gdy wpadnie w furję, będąc niekontrolowanym. To typowa reakcja łańcuchowa.

Następnym przykładem może być ukryta siła atomu. To potwór

nad potworami, ale też ma serduszko głęboko ukryte. Może leczyć /radioterapia/, napędzać elektrownie jądrowe itd., ale do jego serduszka powinno się docierać, mając pokornie spuszczoną głowę.

Prowadząc nasze rozważania /z przymrużonym okiem/ mamy świadomość, że w przypadku żywiołów, pojęcie serduszka jest utopią, a zrozumienie żywiołów można odnaleźć tylko w nauce wiedząc, że prawdziwe Serce jest możliwe do odszukania jedynie u żyjącej istoty.

Myślę, że mało kto zachwyca się ogromnym łańcem kwitnącego rzepaku, ale zachwyt budzi samotna szarotka, smagana zimnym wiatrem, dziko rosnąca na skalnej półce. Nigdy jej nie spotkałem, chodząc po górach, chyba dlatego, że wędrowałem wytyczonymi szlakami, ale wiele razy, podczas licznych wypraw wędkarskich, spotkałem nenufary zwane liami wodnymi. Rosną na starorzeczach, płytkich rozlewiskach, czego przykładem jest jezioro Warholt. Do zapachu lilii wodnych moż-

na mieć wiele zastrzeżeń, lecz ich wygląd przyprawia o zachwyt. To mój ulubiony kwiat. Dlatego będąc w Paryżu, przeznaczyłem cały dzień na oglądanie w muzeum ogromnych rozmiarów obrazów, skończonych i tych, których nie zdążył ukończyć malarz ekspresjonista Claude Monet. Wolę oczywiście zachwycać się widokiem lilii wodnych w naturze. Możemy korzystać z namiastki tej przyjemności, bo kilka o barwach odbiegających od dziko rosnących, więc posadzonych rękami człowieka, cie-

szy oko w stawiku pomiędzy Górką Kazurką a Lasem Kabackim.

Łatwo jest wywołać uśmiech na twarzy dziecka. To piękny widok. Dobrze znają go młodzi rodzice i dziadkowie. Ale chyba jeszcze piękniejszy jest widok uśmiechu na twarzy staro-oranej bruzdami cierpienia i czasu. Aby osiągnąć ten widok trzeba, być może, więcej się przyłożyć, ale efekt jest niezapomniany. Dlatego starałem się namalować „dobrą babuszkę”, mającą na twarzy nikły cień uśmiechu.

Policzyłem że jest to 50. tekst, który napisałem do „Życia Seniora”. Jakże czas szybko przeleciał. Moja nietypowa sytuacja zdrowotna powoduje, że teraz nastąpi pewna przerwa w moim pisaniu i mamy też, jak zwykle, przerwę wakacyjną. Dlatego bardzo dziękuję Czytelnikom za wyrozumiałość, jeśli uznają, że pisałem zbyt spontanicznie i dziękuję Redakcji za umieszczenie moich „Krótkich tekstów o...”.

Podaję mój adres mailowy (marek.k-j@wp.pl) Będzie mi bardzo przyjemnie jeśli otrzymam jakiś komentarz: pozytywny albo krytyczny. Za każdy dziękuję i czekam.

Marek K-J



Przegląd prasy

Jak donosi katolicki społeczno – kulturalny Tygodnik Powszechny z 23. maja 2021 roku - już z nowej siedziby redakcji, diecezja krakowska wyгнаła z Wiślniej 12 w Krakowie na Dworską 1C w tymże - piórem moich niezawodnych autorów, możemy być pewni, że pandemia i jej skutki długo jeszcze nas nie opuszczą.

Zwłaszcza dyskurs medialny będzie miał się dobrze i przypominał nam, że była, że wobec niej w różnych postawach stawaliśmy i stajemy, zwłaszcza wobec ofiar, według danych z aplikacji rządowej Stop Covid, już ponad 73 tysiące na 26. maja br. W artykule Dariusza Kosińskiego „Komu czego braknie” czytamy: „Mało jest społecznej presji, by o ofiarach pandemii mówić, by je upamiętniać. Zajmujemy się swoimi sprawami, zostawiając tych zmarłych wyłącznie bliskim. Co to za wspólnota?”. Cieszymy się ze znoszonych obustrzeń, planujemy urlopy, a rząd upamiętnia z rozmachem kolejną rocznicę smoleńską. A co z ofiarami covidowymi, czyżby ich śmierć została w nas mniejszy ból? Ten artykuł jest właśnie o szukaniu sposobu upamiętnienia tych ofiar, które statystycznie ten żywioł musiał pochłoniąć, a może nie musiał? Przeczytajcie.

Ten artykuł, jak i następne, o których wspomnę są w grupie Tematu Tygodnika, który ma nadtytuł „Nieodżałowani”. Do tego tematu wróć za kilka linijek tekstu, jeśli tak można powiedzieć, bowiem muszę o stałym felietoniście, rozpoczynającym każdy numer Tygodnika też wspomnieć. Ksiądz Adam Boniecki, bo o nim mowa, pisze w „Samotności pokonanej” o starych, samotnych chorych ludziach w domach, o samotności na oddziałach covidowych albo w DPS-ach. Dużo lepiej mieli terminalnie chorzy w hospicjach, w których jest szczególnie rozwinięta opieka nad chorymi. Nawet, jeśli lockdown wykluczył rodzinę z odwiedzin, to kadra opiekuńcza była dla najbliższych, jak i chorego, nicią łączącą rodzinę, chroniła ich przed samotnością, a ich sa-

mych nie skazywała na bezczynność i bezradność. Ksiądz pisze także o młodszych, o uczniach, których zdalne nauczanie i zalecenie #Zostańwdomu uziemiło w samotności doprowadzając nierzadko do licznych powikłań somatycznych i psychicznych. Trzeba przeczytać.

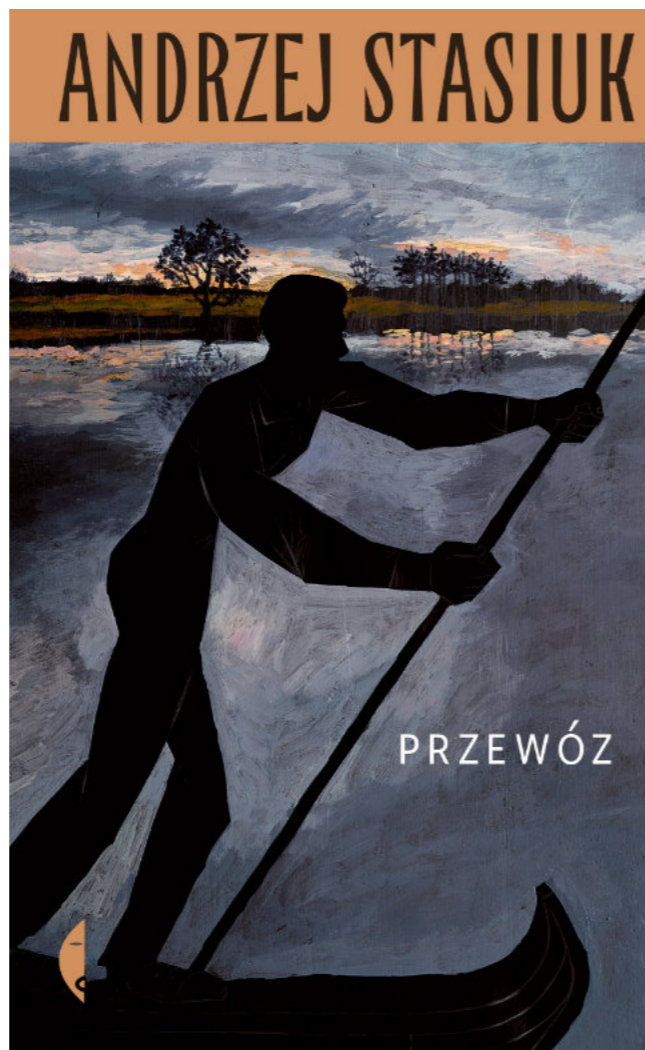
W „Nieodżałowanych” czytamy dalej: „Epidemia zabrała tysiącom Polaków bliskich. Ale też możliwość ich pożegnania. Za życia i po nim.” Do przeczytania zachęć państwa trzema cytatami z wypowiedzi bohaterów artykułu. „Małgorzata Marcowska: Biorę proszki. Na sen, na uspokojenie. Do pierwszej, czasem do drugiej i tak nie śpię. Meczą mnie myśli i poczucie winy: to ja wysłałam tatę do szpitala... Wiem, że to niera-

jonalne, ale nic na to nie poradzę.” „Anja Franczak: Skoro nie wiemy, jak było, lepiej sobie wyobrazić, że nasz bliski mógł porozmawiać z leżącym obok pacjentem, a pielęgniarka podszła i złapała go za rękę.” „Ks. Andrzej Dziędziul: Może za sprawą tej pandemii wrócimy do dyskusji o tym, jak ważne dla przeżywania żałoby są takie czynności, jak pożegnanie, umycie ciała czy ubranie go.” To jest artykuł o tym, jak szukać pomocy dla siebie po stracie bliskiej osoby w czasach, gdy rytuał pożegnania zmarłego został wykluczony decy-



zją władz, niektórzy mówią, że zbyt pochopną.

Mnie przy czytaniu Powszechnego ciągnie najbardziej do działu Kultura. Tu czekała na mnie nie lada gratka, bowiem jest tam wywiad Michała Okońskiego z Andrzejem Stasiukiem, który powstał po ukazaniu się jego najnowszej powieści zatytułowanej „Przewóz”. Sam wywiad nosi tytuł „Bug, ojciec, ojczyzna” i wprost odnosi się do środkowo-wschodnich rubieży kraju, skąd Stasiuk pochodzi a co skierowało jego zainteresowania



Zakole Bugu w Drohiczynie

na Wschód aż po Mongolię i, jak w wywiadzie mówi, chciałby do Władystoku jeszcze pojechać. Czekam na tę książkę, która do mnie dotrze, wraz z innymi tytułami zamówionymi w wydawnictwie „Czarne” w połowie czerwca, czekam jak na ucztę literacką, bowiem książki Stasiuka i inne z tego wydawnictwa mnie wzbogacają, czuję z autorem, z jego oglądaniem i przeżywaniem świata jakieś pokrewieństwo dusz. Dla zachęty do przeczytania zacytuję fragment z wywiadu: „W wojnach też nie mamy wielkich osiągnięć? Mamy wymyślone. Nawet w tej ostatniej, która przecież Ruscy nam wygrali. Chociaż jakimś dziwnym sposobem udajemy, że to my wygramy. Może także dlatego tak się zmagamy z tą narracją wojenną, usiłujemy ją oswoić i przejąć? Zrobić nie naszą wojnę w końcu naszą?” Akcja tej powieści rozgrywa się w 1941 roku w okolicach Drohiczyna nad Bugiem i jak się domyślam, jest o naszych narodowych kompleksach i zatajanych czynach, które w każdej chwili mogą powrócić jak wyjące wilki, i co z tego, że już wielokrotnie odpędzane z naszych sumień. Należę do osób, którym wojna nie jest potrzebna do udowodnienia czegokolwiek, a gdybym na wojnę

musiał iść, to bym szedł, ale bym się nie cieszył, że tak powiem, parafrazując pewnego polityka. Sam wywiad zresztą nacechowany jest politycznie, ale z wyczuciem, na tyle tylko, ile potrzeba dla zrozumienia naszego rodzimego status quo. Warto przeczytać ten zapis rozmowy dwóch mądrych facetów.

W dziale Kultura polecam również artykuł Piotra Kosiewskiego pt. „Wyjęte z osi czasu” poświęcony twórczości docenionego w kręgach artystycznych Jarosława Modzelewskiego, uznawanego także za klasyka, który sam o swojej twórczości, w tekście „Zobaczone obrazy możliwe do namalowania” mówi tak: „Nie wymyślam obrazu ani nie składam go z własnych klocków. Jest on wynikiem obserwacji świata rzeczywistego”. Artykuł ilustrowany jest zdjęciami czterech obrazów powstałymi w ostatnim roku, obrazami, które robią na moich zmysłach niejako wrażenie, są ilustracją do trwającej wystawy artysty zatytułowanej „Obrazy z dzieciństwa”. Zastanawiałem się, dlaczego uznawany jest za klasyka i oto przeczytałem takie zdanie w tym artykule: „Z biegiem lat jego malarstwo wyciszyło się. Stało się bardziej powściągliwe. Przybrało klasyczną

formę w najlepszym rozumieniu tego słowa. Docenionego, obecnego w każdej syntezie dziejów sztuki ostatnich dekad.” Autorowi dziękuję za wyjaśnienie. Państwu polecam do przeczytania.

Miłośnikom tekstów o współczesnej scenie muzycznej niefilharmonicznej, polecam artykuł Moniki Ochędowskiej zatytułowany „Innej rewolucji nie będzie”. Cokolwiek przybliżę temat cytatem leadu tego tekstu: „Błazej Król, tak jak Marcin Świetlicki, odwołując się do najdawniejszego utworu najpopularniejszego zespołu wszech czasów, musiał w końcu uznać samego siebie za część ciężkostrawnej, medialnej papki.” O co chodzi? Trza przeczytać!

Dla miłośników krytyki filmowej jest tekst Anity Piotrowskiej zatytułowany „Brzydkie tatuaże”. Tu również moja zachęta do przeczytania polega na cytacie leadu; „Judd Apatow zdaje się być zakochany w niedojrzałości. Zwłaszcza tej w krótkich spodenkach. Do jego galerii Piotrusiów Panów dołączył niedawno tytułowy bohater „Króla Staten Island”. Przeczytać czy obejrzeć? Wybór należy do ciebie.

/jo/

Jak nam szło czytanie w roku 2020

Na dane Biblioteki Narodowej zawsze można było liczyć, jako na wyniki jednego z najlepiej przeprowadzonych badań społecznych. Myślę, że to badanie jest nadal rzetelne, natomiast dla poprawy wizerunku obywatela dokonuje się ledwo widocznych manipulacji (na kryteria wpływa władza), ale perfidnych i szkodliwych. Nie tędy droga dla popularyzacji słowa pisanego i podnoszenia poziomu kultury.

Biblioteka Narodowa opublikowała dane za rok 2020, dotyczące stanu czytelnictwa w Polsce. Pierwsze dane pokazują, że w czasie pandemii o 3% (39→42) wzrosła liczba czytających Polaków. Hurra! Ale, ale... gdy się wczytać głębiej w tekst, okazuje się, że znowu obniżono kryteria zaliczania osób do regularnych czytelników w skali roku. Już i tak na wyrost było, że jedna książka rocznie nobilitowała do tego zacnego grona, a jest tak, że wystarczyło zacząć czytać ją w ubiegłym roku i już zostaje się czytelnikiem regularnym. Coś mi się wydaje, że w przyszłym roku wystarczy wziąć książkę do ręki, a jeszcze w następnym tylko na okładkę zerknąć, by stać się pracującym na wysoki odsetek ludzi czerpiących z zasobów kultury wysokiej, w tym też dobrej popularnej. Panie! Miej w opiece decydentów i opiekunów kultury z bożej łaski. Innym ważnym kryterium, podlegającym zainteresowaniu specjalistów rynku czy-

telniczego, było dociekanie o jakości i liczbie pozycji czytelniczych, czyli kto, ile i co czyta. Do tej pozycji badania nie da się wepchnąć paluchów manipulatora, tu czarno na białym widać, jak jest w rzeczywistości. Powiem pokrótce. Czytają ci, którym tę czynność narzucono, czyli uczniowie i studenci, czyli lektury, podręczniki i teksty wskazane przez wykładowcę. Dalej, czyli pomiędzy 24. a 60. rokiem życia jest prawdziwa dziura czytelnicza. Dopiero seniorzy czytają regularnie, dzisiejsi seniorzy, bo nie jestem pewien, że następujący nowi będą temu zajęciu poświęcać czas i czerpać z lektur przyjemność. Dlaczego? Jeśli ktoś przez ostatnie trzydzieści lat żył w tej wcześniej wspomnianej dziurze czytelniczej, to i na starość nie poczuje ciągu do pięknego słowa, nie w lekturze będzie szukał pobudzenia wyobraźni, mało tego, nie będzie utrwał zasad poprawnego mówienia i pisania w języku ojczystym. Ogólnie w naszym społeczeństwie czytanie nie jest ulubionym zajęciem rodaków, wolą lekko, łatwo i przyjemnie czerpać przyjemność z telewizji, z gier komputerowych, z kolorowej prasy, z wiadomości operatora komórek i innych – niestety – niewiele wartych źródeł informacji o świecie. Zauważyłem, że więcej rozmawia się o komentarzach pod artykułami niż o samym artykule, o hejcie, o lajkach i selfie już tak. Treść i jego istota spychane są na dalszy plan, nie mają statusu ważności, ale dyskusja pod, ta pyskówka, to

chamstwo wylewające się z ust, raczej spod palców tych wszytkowiedzących komentatorów... tylko pytam: skąd oni mają wiedzę, którą tak szafują, czy istnieje w ich rozbuchanym ego miejsce dla autorytetów, dla wiedzy naukowej, dla poznawania rzeczywistego świata? Do licha! Mógłbym powiedzieć, że ten margines kultury mnie nie obchodzi, jednak nie mogę uwolnić się od czegoś, co króluje na ulicach – od nachalnego prostactwa, chamstwa i lansowania się ponad swoje możliwości. Osoby czytające, zarówno prozę jak i poezję, obcuje na co dzień z tekstem, budują w sobie pewną trwałą wartość, to świadomość bycia i czynienia dobra, to zdolność rozumienia ludzi i sytuacji, umiejętność oceny potrzeb wyciągania wniosków w sytuacjach społecznych. Może ktoś powie, że bez książek też można iść świadomie przez życie, to ja odpowiem: można, tylko na którym poziomie (level`u) owej świadomości. Na koniec już powiem coś oklepanego, bo niczego nowego tu wymyślić nie można, że kto czyta, ten lepiej rozumie siebie i otoczenie. Aha! Warto uważać z wyborem książek, wiele z nich nie nadaje się bowiem do czytania. Dlatego mniej wyrobionych czytelników odsyłam do odpowiednich źródeł wiedzy o książkach, autorach etc., łatwo je znaleźć chociażby w internecie, bo przyznać trzeba, że kiepska lektura może zniechęcić do czytania w ogóle.

/jo/



Czy znasz swoich sąsiadów?

Czytaj „My z Wyzyn”

na stronie Natolińskiego Ośrodka Kultury

www.nok.art.pl

Wydawca: Natolińskie Centrum Seniora – Klub Seniora „Wrzos”.

Adres redakcji: Natoliński Ośrodek Kultury, 02-791 Warszawa, Na Uboczu 3, tel. 22 520 04 84, program@nok.art.pl

Redakcja: Redaktor naczelny - Janusz Olczyk, Sekretarz redakcji - Helena Laskowska, Stali współpracownicy: Wanda Krawczyk, Marek Kalerński,

Mieczysław Kamiński, Zbyszek Kubik, Eugeniusz Moszkowicz, Halina Siwińska, Wojciech Zieliński. Redakcja techniczna: OLPI. Druk kserograficzny: NOK.

CZYTAJ NAS W INTERNECIE – www.nok.art.pl/zycieseniora

Do użytku wewnętrznego.